

Z ALKIEM POPIEŁUSZKĄ W WOJSKU

1966 – 1968

**WSPOMNIENIA KS. JERZEGO KIERY, W ROKU BEATYFIKACJI
ŚŁ. BOŻEGO KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI**



**Kleryk-szeregowiec
Jerzy Kiera**

Powołanie do służby

W maju 1966 roku braliśmy udział w uroczystościach milenijnych jako młodzi klerycy po pierwszym roku studiów w seminarium. A potem w październiku wracaliśmy na drugi rok studiów i zamiast przydzielonego pokoju mieliśmy przygotowane przez GZP - (czyli Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego) - bilety na wyjazd pociągiem do Bartoszcyc. Tak to sobie władze wymyśliły, żeby w tym milenijnym roku, jako zemstę za uroczystości 1000-lecia Chrztu Polski, które organizował Kościół, powołać do wojska znacznie większą niż dotychczas liczbę kleryków i uszczuplić ich liczbę w seminarjach, a w konsekwencji zmniejszyć liczbę przyszłych księży. Powołano więc ze wszystkich prawie

diecezji po kilkunastu kleryków min. z diecezji katowickiej powołano do służby wojskowej 13 seminarzystów. Stworzono w tym celu specjalną jednostkę klerycką 4413 BRT (Batalion Ratownictwa Terenowego) w Bartoszcycach na północy Polski w pobliżu granicy z ZSRR.

Podróż do Bartoszcyc

Jadąc na północ, nigdy wcześniej nie słyszeliśmy o takiej miejscowości jak Bartoszyce, położonej 11 km od granicy z obwodem kaliningradzkim. Wyszliśmy wcześniej o jedną stację przed Bartoszcycami i postanowiliśmy iść dalej pieszo, by uniknąć złapania na dworcu przez patroly wojskowe, które

przybyłych kierowały bezpośrednio do koszar. Gdy doszliśmy do rogatek miasta, natknęliśmy się na kościół. Poszliśmy więc do tamtejszej parafii przedstawić się ks. proboszczowi. Skorzystaliśmy ze spowiedzi i poczęstunku. Następnie udaliśmy się do centrum miasta i zanim złapał nas patrol, zdążyliśmy dojść do głównego kościoła p. w. św. Jana Ewangelisty w rynku, tzw. Fary Bartoszyckiej.

Do koszar

Gdy przyszła na nas kolej, patrol złapał nas i zaprowadził do wojskowej hali sportowej znajdującej się na terenie jednostki. To był cel ostateczny naszej podróży. Ostrzygli nas tak strasznie krótko i byle jak, że na początku nie mogliśmy siebie rozpoznać. Potem zaszczerpiono nas przeciw ospie i odesłano na „miejsce zakwaterowania”. Był to osobny, ostatni w szeregu blok, na ogrodzonym terenie całej jednostki wojskowej. Znajdował się tam jeszcze pułk czołgów, stanowiący osobną jednostkę. Za ogrodzeniem mieściła się jednostka artylerzystów. Bartoszyce więc były dużym garnizonem. W dwupiętrowym bloku przygotowano pomieszczenia dla trzech kompanii kleryckich (1 batalion), czyli ponad 300 osób.



Budynek jednostki kleryckiej J. W. 44 13

Jednostka klerycka

J W 4413 była pierwszą w dziejach PRL tak dużą jednostką stworzoną w jednym celu – zebrania alumnów z niemal wszystkich seminariów diecezjalnych i zakonnych z całej Polski. Różnymi metodami starano się zniechęcić do dalszych studiów i przygotowania do kapłaństwa blisko 300 kleryków w ciągu dwóch lat. W tejże osobnej jednostce, oprócz kleryków znaleźli się również nie klerycy. Byli to młodzi aktywiści ZMW (Związek Młodzieży Wojskowej), których później wcielano do PZPR, a ich zadaniem było inwigilowanie, donoszenie, knucie intryg wśród nas itp. Wszystko po to, by jak największa ilość kleryków zrezygnowała z dalszej drogi do kapłaństwa. Posługiwano się również (w rozmowach indywidualnych) obietnicami i szantażem.

„Cywile”, bo tak nazywaliśmy kolegów nie kleryków, znajdowali się w każdej drużynie. Dość długo trwała identyfikacja - kto jest kim: kleryk czy „cywil”, z którego seminarium i skąd. Po oddaniu odzieży cywilnej, ubrani w mundury wojskowe, zostaliśmy przydzieleni do odpowiednich kompanii, plutonów i drużyn. W bloku parter zajęła kompania I, pierwsze piętro kompania II, a drugie piętro kompania III.



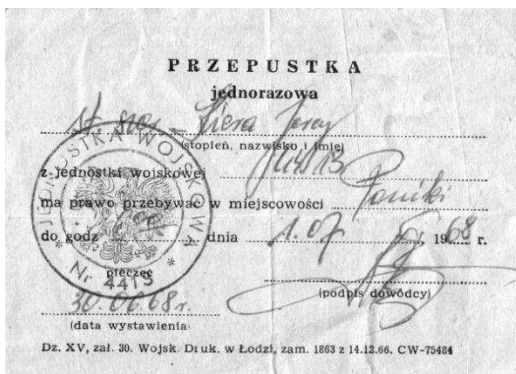
Zdjęcie zbiorowe z wycieczki do Kętrzyna

Kleryk Alek Popieluszko



Kleryk-szeregowiec Alfons Popieluszko

Niewątpliwym zrzędzeniem Opatrzności Bożej był fakt, że na II kompanii gdzie się znalazłem, był również Alek Popieluszko z Seminarium Warszawskiego. Jeden z bardzo wielu kolegów. Wtedy jeszcze nosił imię Alfons, które dopiero przed święceniami kapłańskimi zmienił na Jerzy. W ogromnym tłumie nie bardzo się wyróżniał. Ot, jeszcze jeden rekrut. W krótkim czasie jednak, wiadomo było, że należy do tych, którym można zaufać. Był nieugięty, dlatego otrzymywał często kary - nagany na apelu, ZOK, czyli zakaz opuszczania koszar (bez przepustek), prace poza kolejnością, zakaz wyjazdu na urlop, areszt.



Za szykanami, które dziwnie często spadały na Alka, stał niewątpliwie jego dowódca plutonu ppor. P., o zdecydowanie sadystycznym usposobieniu. Człowiek ponury, wulgarny, nieznający żartów, ani uśmiechu. Próbował nawet uczyć Alka Popieluszkę pływania, a polegało to na wrzucaniu go do basenu i

podawaniu żerdzi. Wtedy ppor. P. był rozbawiony widząc topiącego się, ledwo dyszącego i przerażonego żołnierza. Trochę się jakby uśmiechał. Mimo tych szykan, licznych kar wobec których byliśmy bezradni, mimo iż tak wiele cierpiało, najczęściej niewinnie, Alek sam podtrzymywał nas na duchu. Na szczęście nasi bezpośredni dowódcy byli inni niż sadysta ppor. P. i kilku innych.

Wyjątkowy charakter jednostki

O wyjątkowym charakterze jednostki kleryckiej świadczył również fakt, że w każdej kompanii oprócz dowódców i szefa kompanii, byli jeszcze zastępcy dowódcy kompanii do spraw politycznych. Nazywaliśmy ich politrukami. Głównym dowódcą batalionu był płk O., a jego „alter ego”, był zastępca do spraw politycznych mgr mjr Z. G. Ot niby taka „szara eminencja”, ale tak naprawdę, to ci ludzie rządili i decydowali o wszystkim w jednostce.

Alek Popiełuszko został przydzielony do 2 kompanii i 3 drużyny w 3 plutonie. Zastępcą dowódcy kompanii ds. politycznych był z pozoru miły i kulturalny por. K. Mieszkaliśmy więc na jednym piętrze i spotykaliśmy się codziennie, a to w umywalni, a to na korytarzu, podczas apeli porannych i wieczornych, wreszcie wykonywaliśmy wiele najróżniejszych prac z kolegami z innych plutonów. Wspólnie też próbowaliśmy się modlić, ale to już nie było takie proste.

Jak już wspomniałem, na początku zupełnie nie wiedzieliśmy, kto jest klerykiem a kto nie. Dopiero po pewnym czasie zaczęliśmy się rozpoznawać. My, z Seminarium Śląskiego byliśmy porozrzucani po kilku w różnych kompaniach, drużynach i plutonach. W każdej drużynie było po 2-3 nie kleryków, ale po czasie okazało się, że wśród tzw. „cywilów” było wielu porządnych ludzi, którzy nie poszli na całkowitą współpracę. Często, z narażeniem, pomagali nam i ostrzegali przed akcjami, które w tajemnicy przygotowywano. Informowali nas też o przypadkach, gdy jakiś kleryk zdecydował się na współpracę z władzami politycznymi, by mieć się przed nim na baczności.



Tableau 2 kompanii (Alek Popieluszko oznaczony strzałką)

„Cywile” w wojsku i cenzura

Byli jednak i tacy „cywile”, którzy przez całą służbę wykonywali gorliwie swoją misję i tych należało się strzec. Mieli spotkania z „politrukami”, a celem było śledzenie i donoszenie o wszystkim, co się działo w drużynie. Proponowano im przywileje po wyjściu z wojska. Również klerykom, którzy pójdą na współpracę zrezygnują z dalszych studiów w seminarium, proponowano możliwość podjęcia studiów na atrakcyjnych kierunkach, stypendia, wszelką pomoc itp. Na taką współpracę z władzami zdecydowało się zaledwie kilku kleryków. Dowiadywaliśmy się o tym nie od kogo innego, tylko od owych „cywilów”, którzy, o ironio, mieli nam szkodzić. W imię koleżeńskiej solidarności informowali nas o poczynaniach dowództwa. Niektórzy okazali się dobrymi, serdecznymi kolegami, gdy poznaliśmy się bliżej. Dzieliliśmy się z nimi papierosami, czasem zawartością naszych skromnych paczek, których oni prawie w ogóle nie dostawali. To był wspólny „niewypał” misternie utkanej intrygi przeciwko nam.

Kontrolowano oczywiście naszą korespondencję oraz - wówczas niezbyt częste - rozmowy telefoniczne. Wiedzieliśmy o tym doskonale, więc w listach nie poruszaliśmy spraw poważnych, smutnych, nie skarżyliśmy się i nie

wymienialiśmy nazwisk. Robiliśmy tak również dlatego, by nie martwić naszych rodziców. Te tematy poruszaliśmy tylko w listach zabieranych przez kolegów wyjeżdżających na urlop lub przepustkę (była pewność, że nie wpadną w ręce wszechobecnej cenzury) lub w rozmowach osobistych z naszymi przełożonymi w Seminarium.

Szkolenia polityczne i wojskowe

Szkolenia typowo wojskowe – musztra, taktyka, saperskie, chemiczne itp. - przeprowadzane były z nami w odpowiednich miejscach i salach wykładowych. Prowadzili je profesjonalści, specjaliści, którzy znali się na swoim rzemiośle żołnierskim. Najgorsza była musztra i ćwiczenia taktyczne, gdyż niezależnie od pory roku i pogody, trzeba było iść na poligon, za miasto i tam bez końca czołgać się, kopać okopy, biegać w tyralierze, nosić betonowe kształtki zamiast min przeciwczołgowych i tak przez całe 2 lata i cztery pory roku na okrągło.

„Normalne wojsko” takie ćwiczenia miało tylko w okresie unitarnym, przed przysięgą. Potem szkolenie było ściśle ukierunkowane na specjalność kompanii, batalionu czy pułku. Nas, kleryków doświadczano musztrą i ćwiczeniami „taktycznymi” celowo przez okrągłe 2 lata. To było trudne do zniesienia (szczególnie dla słabych fizycznie). W początkowym okresie, tzw. unitarnym musieliśmy się nauczyć regulaminu wojskowego, stopni wojskowych, meldowania, salutowania po prostu zachowań żołnierskich oraz praw i obowiązków żołnierza. Następnie po złożeniu przysięgi mieliśmy odbyć specjalistyczne szkolenie wojskowe i zacząć normalną służbę. Niestety, nic z tego. Nie mieliśmy ani własnych pojazdów wojskowych, ani wozów bojowych jak inne jednostki, ani sprzętu. Zajmowano więc naszą jednostkę musztrą, taktyką, pracami ziemnymi i wieloma bezsensownymi zajęciami jak np. sypanie wałów na strzelnicy, prace melioracyjne bez żadnego sprzętu i tak bez końca. Było to jawne upokarczenie, by nas złamać duchowo. Nikt tak naprawdę nie wiedział jaka była specjalność tej jednostki, co stawało się przedmiotem żartów i drwin kolegów czołgistów czy artylerzystów. Nie śmiali z się jednak z nas, bo sympatyzowali z nami i nas szanowali. Wiedzieli kim jesteśmy.

Szkolenia polityczne

Zajęcia wyżej wymienione przeplatane były mnóstwem tzw. szkoleń politycznych. Prowadzili je różni ludzie: czasem oficerowie, innym razem sprawdani jacyś „cywile”, a nawet nasz szef kompanii, prosty st. sierżant K. Nie potrafił się wysłowić, przekręcał obcojęzyczne nazwiska, z trudnością cytował artykuły z gazet. To było bardzo rozrywkowe i kochaliśmy naszego szefa za to, że robił, co mógł, a mógł niezbyt wiele i wcale tego nie ukrywał. Był nieszkodliwy. Wybuchaliśmy salwami śmiechu, który był nam, młodym ludziom tak bardzo potrzebny.

Wiedzieliśmy doskonale czemu mają służyć te szkolenia polityczne. Podczas „wykładów” zajmowaliśmy odpowiednią postawę: jedni spali, inni grali w karty, pisali listy lub czytali książki. Był panował ład i porządek. Wykładowcy byli szczęśliwi, że mają względny spokój i wykonują zlecone zadanie. Było wesoło, choć nie zawsze.

Inny charakter miały spotkania z oficerami politycznymi. To byli ludzie przygotowani, wykształceni i inteligentni. Próbowali nam prostować, jak to nazywaliśmy, „pion moralno ideologiczny”. Dobrze wiedzieliśmy, o co im chodzi. Często kompromitowali się, fałszując historię bez zmużenia oka, a którą znaliśmy przecież ze źródeł niezależnych.

Nasyłano też do nas np. magików z cyrku, którzy mieli za zadanie udowodnić, że cuda to tylko sztuczki i iluzja. Żenada! Byli też zapraszani prelegenci po studiach politologicznych, historycznych i innych. Starali się w możliwie umiejętny sposób przedstawić aktualną sytuację polityczną, by wykazać w sposób tendencyjny i niekorzystny, jaką rolę odgrywa Kościół katolicki w Polsce i świecie. Tematyka prelekcji oczywiście dotyczyła wiary, Kościoła, historii i polityki.

Indoktrynacja

Wyciągali przede wszystkim wszystkie tzw. trudne sprawy Kościoła: inkwizycję, kwestię antypapieża, skandale mając nadzieję, że zasieją w nas zwątpienie i nieufność wobec Kościoła w Polsce i świecie. Ta metoda jest stosowana również i dziś przez niektóre środowiska, a przynosi „owoce” jedynie wśród niedouczonej. Poruszano też tematy dotyczące filozofii i ideologii: oświecenia, modernizmu, marksizmu czy wolnomularstwa.

Dziwna rzecz, że choć byliśmy niedoświadczeni i w tak młodym wieku, to instynktownie nigdy nie ufaliśmy owym prelegentom. Tkwił w nas wewnętrzny opór, by przeciwstawić się tej jawnie antykościelnej nagonce. Naszą zasadą była łacińska maksyma: „vide cui fide” - „patrz, komu wierzysz”. Nie ufaliśmy nikomu z nich. Wizja Kościoła przedstawiana w tych prelekcjach była fałszywa, tendencyjna. Miała na celu zasianie w nas zwątpienia w misję Kościoła, a w rezultacie prawdziwość i sens naszej wiary chrześcijańskiej.

Wiele z tych prelekcji skierowanych było bezpośrednio przeciw hierarchii Kościoła w Polsce. Atakowano np. kardynała Stefana Wyszyńskiego, biskupów. To był ciąg dalszy zemsty za sławny „List Episkopatu Polski do biskupów niemieckich” z 1965 roku. Próbowano nas nastawiać przeciw naszym przełożonym seminaryjnym i duszpasterzom. W tamtych sześćdziesiątych, gomułkowskich latach, to właśnie oni i tylko oni byli dla nas, i większości Polaków, ostoją wiary, nadziei i prawdy. Tylko dzięki nim mogliśmy godnie przeżyć. Kardynał Wyszyński był w naszych oczach prawdziwym opatrznościowym Mężem Bożym. Przyszłość miała to zresztą potwierdzić.

Prymas Tysiąclecia

Nasza młodość przypadła na lata sprawowania urzędu prymasowskiego przez Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego. W Krakowie na stolicy arcybiskupiej zasiadał Karol Wojtyła. Byliśmy zafascynowani tymi postaciami tym bardziej, że widywaliśmy je i osobiście słuchali ich w Krakowie, Piekarach oraz na Jasnej Górze, 3 maja 1966, podczas uroczystości milenijnych, bezpośrednio przed wyjazdem do wojska. Oni byli naszymi autorytetami, które nigdy nas nie zawiodły. To ich postawa i nauczanie umacniało naszą młodą, gorącą wiarę.

Nasi przełożeni odwiedzali nas w miarę możliwości i podtrzymywali na duchu. Ówczesny arcybiskup krakowski Karol Wojtyła, również odwiedził nas ze swoim kapelanem ks. Stanisławem Dziwiszem. Niestety musiał stać pod bramą, bo nie wpuszczono go do bartoszyckich koszar.

Wiedzieliśmy dokładnie, co myśleć o tych napaściach na naszych duchowych pasterzy i komu mamy wierzyć. W nich, pasterzach szukaliśmy oparcia. Mieliśmy na miejscu duchowego opiekuna ks. Kazimierza Torle, oraz siostry Serafitki. Podczas wyjazdów do domu odwiedzaliśmy Seminarium Warmiń-

skie w Olsztynie. Wicerektorem był wówczas ks. Henryk Gulbinowicz (późniejszy arcybiskup wrocławski i kardynał).

Kapelani wojskowi

Na nasze żądanie przysłano do nas kiedyś księża kapelanów. Władze PRL, chcąc uchodzić w oczach Europy za państwo prawdziwie demokratyczne, zatrudniały pewną liczbę kapelanów wojskowych. Mieli oni wypłacane pensje, służbowe mieszkania, istniały nawet kościoły garnizonowe itd., lecz przeciętni żołnierze nigdy nawet nie słyszeli o ich istnieniu.

Ówcześni księża kapelani nie mieli zresztą nic do powiedzenia, a w jednostkach wojskowych prawie nigdy się nie pokazywali. Na nasze pytania, czemu nie odwiedzają innych kolegów w sąsiednich jednostkach, władze wojskowe argumentowały, że tamci żołnierze mają właściwie ukształtowany światopogląd i nie potrzebują, a nawet nie życzą sobie żadnej religijnej propagandy. Myśmy wiedzieli o istnieniu duszpasterstwa wojskowego i domagaliśmy się obecności kapelanów w naszej jednostce. Napisaliśmy pismo do GZP LWP w Warszawie, w którym zażądaliśmy, zgodnie z regulaminem wojskowym, prawa do uczestniczenia w rekolekcjach wielkopostnych i korzystania z sakramentów świętych. O dziwo, takie zezwolenie otrzymaliśmy. Mieszkańcy Bartoszyca po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zobaczyli uformowaną kolumnę wojska maszerującą... do kościoła!

Mózgu prania ciąg dalszy

W ramach szkolenia ideologicznego obowiązkowym było oglądanie codziennego wydania dziennika telewizyjnego i czytanie starannie dobranej prasy (przede wszystkim organów PZPR). Jedyne podczas inwazji na Czechosłowację, w 1968 roku, nie było oglądania telewizji ani czytania gazet. Słyszeliśmy tylko głęboki pomruk lecących nad nami sowieckich, ciężkich samolotów transportowych ze sprzętem i żołnierzami, w kierunku południowym czyli na Czechosłowację. Oczywiście niczego jeszcze wówczas o żadnej „bratniej” inwazji nie wiedzieliśmy.

„Ogólno wojskowe” życie kleryków

W II Kompanii Ratownictwa Terenowego (KRT taką tajemniczą nazwę nosiła cała jednostka), czyli na pierwszym piętrze bloku, po lewej stronie od wejścia z klatki schodowej, ostatnią izbę żołnierską zajmowała drużyna Alka Popiełuszki. Oprócz kilku innych izb żołnierskich były tu dyżurki szefa kompanii i dowódców drużyn, pokój dowódcy politycznego i dyżurka oficera dyżurnego czynna 24 godziny na dobę. Był też hol ze stołem pingpongowym, ubikacje i umywalnia z wyłącznie zimną wodą. Pysznic braliśmy raz w tygodniu, w łaźni na parterze.

Życie zaczynało się wcześniej rano. Po zaprawie (takie wojskowe wf), osobistej toalecie, ścieleniu łóżek było jeszcze sprzątanie rejonów, potem śniadanie. Apel dla wszystkich pododdziałów odbywał się codziennie przed blokiem, następnie wszyscy ruszali do wyznaczonych zajęć. Padał rozkaz: „Pododdziałami do zajęć odmaszerować”. Po wykonaniu zadań przychodziła pora na obiad i czas wolny. Była to świetna okazja do spotkań z kolegami z innych kompanii, innych seminariów. Można było posłuchać wieści ze świata i podyskutować.

Potem oczywiście znów szkolenie polityczne i różne spotkania, kolacja, czas wolny. Obowiązkowy dziennik telewizyjny i apel wieczorny kończył dzień.

Życie społeczno – religijne

Dbaliśmy o to, by nam nie podawano, jak to miało miejsce na początku, dań mięsnych w piątki i dni postne np. w Wigilię, Środę Popielcową, Wielki Piątek. Próbowano tłumaczyć nam, że to nie klasztor tylko wojsko, więc zrobiliśmy strajk głodowy. To pomogło, bo dowództwo bało się jak ognia GZP w Warszawie, na którego czele stał jeszcze chyba wówczas Jaruzelski. Stworzyliśmy radę konsumencką, która dbała o właściwe ustalanie jadłospisu dla kleryków. W jej skład wchodziłi sami klerycy, bo „cywile” nie mogli się narażać. Szefem rady był Romek z Sandomierza. Skutek był taki, że poprawiło się jedzenie nie tylko w naszym batalionie, ale i w całym pułku. Chłopcy byli nam wdzięczni.

Okazywało się, że solidarność blisko 300 żołnierzy tworzyła siłę, z którą musieli się liczyć dowódcy.

Nikt nikomu niby nie zabraniał się modlić, lecz jeśli któryś z dowódców wchodził do izby żołnierskiej to ten, kto był najbliższej drzwi wydawał komendę

„Powstań” i meldował: „Obywatelu kapralu szeregowiec taki a taki melduje izbę podczas czasu wolnego”. Dziwnym trafem kaprale czy zastępcy dowódców plutonów wchodzili właśnie wtedy, gdy było cicho i odmawialiśmy różaniec. Wszyscy musieliśmy przerwać modlitwę, czytanie Pisma Świętego i stać na baczność. Dopiero po komendzie „Dajcie spocznij” mogliśmy wrócić do naszych zajęć, ale nie w jego obecności.

W innych jednostkach zwyczaj ten obowiązywał tylko w początkowych miesiącach służby, u nas był rygorystycznie przestrzegany przez całe 2 lata. Jeśli ktoś nie zameldował „Powstań” lub nie przerwał swojej modlitwy, był szykanowany i karany. Za taką postawę oraz noszenie medalika czy różańca na palcu, spotykały szykany Alka Popieluszkę i kolegów z jego izby. Nie mieszkałem w jego izbie, nie znam szczegółów, znam to tylko ze słyszenia.

Nie wolno było mieć w szafce żołnierskiej żadnych innych przedmiotów oprócz tego co w regulaminie. Często całą zawartość goriwi kaprale wyrzucali po prostu na podłogę. Działo się tak zwłaszcza, gdy wśród tych „niepotrzebnych rzeczy” było Pismo Święte, różaniec, książki o treści religijnej lub skrypty z wykładami. Drukowane działało na nich strasznie. Kiedyś w mojej szafce miałem książkę „Wybrańcy gwiazd” Jana Dobraczyńskiego. Znalazł to taki jeden i zameldował szefowi kompanii. Na apelu szef krzyżąc zapytał: „kogo są *Wybrańcy gwiazd*?” Cała kompania odpowiedziała chórem: „Dobraczyńskiego!”. Na to szef: „No to obywatelu Dobraczyński, wystąpcie no tu z szeregu!” Znow była okazja by się pośmiać.

Opieka duchowa i przyjaźnie

Na przepustce (jeśli się ją dostało) można było pójść do kościoła, służyć do mszy, skorzystać ze spowiedzi lub pomóc w drobnych pracach w kościele. Byli tam stale obecni księża, którzy pełnili rolę naszych opiekunów i zawsze służyli nam swoim czasem, zwłaszcza wikariusz parafii ks. Kazimierz Torla.

24 października 1980 -
po ciężkiej chorobie
zmarła w Słupsku

ś t p

KONSTANCJA SKURIAT

babcia klerycka

ur. w 1891 r. na Wileńszczyźnie, podczas II wojny światowej zastużona dla żołnierzy AK, po wojnie zamieszkała w Bartoszycah, gdzie w latach 1960—1978 była dobrodziejką i wychowawczynią alumnów.

Swą niezwykłą szlachetnością, dobrocią i umiłowaniem Boga promieniowała na otoczenie.

Pamięć o niej pozostanie na zawsze żywa w seminariach duchownych, a także wśród mieszkańców Bartoszc.

Pogrzeb odbył się 27 października 1980 r. w Słupsku z licznym udziałem duchowieństwa i rodziny.

WDZIĘCZNI WYCHOWANKOWIE

można tam było wejść bez przeszkód, zrobić sobie herbatę, odpocząć i pogadać. Tam nic nie ginęło, a nawet przybywało, gdyż ludzie okoliczni znosili do babci różne przysmaki, by się klerycy mieli czym pożywić. Księża, a nawet biskupi, którzy odwiedzali Bartoszyce wstępowali też do babci Konstancji i dziękowali jej za pomoc okazywaną klerykom. Był to prawdziwy człowiek-anioł.

Urodziła się w 1891 roku na Wileńszczyźnie, dobrodziejka i wychowawczyni kleryków w latach 1966 - 1978. Zmarła w Słupsku w 1980 roku.

W czasie służby zawiązały się też liczne przyjaźnie między klerykami - żołnierzami, trwające często do dziś. Panowała też koleżeńska solidarność między kompaniami. „Kolega z wojska” - każdy kto przeżył wojskową służbę wie, że to ktoś bliski, z którym zawsze jest o czym porozmawiać.

Przy kościele był też klasztor Sióstr Serafitek, które służyły nam, czym mogły. Często stawały herbatą i ciastem. Karą bardzo uciążliwą było wstrzymanie przepustki, bo wtedy nie można było wyjść z koszar i uczestniczyć we Mszy św. Na szczęście w ogrodzeniu były dziury, z których czasem korzystali spóźnieni na służbę nawet oficerowie (jedna miała nawet nazwę „dziura majora”).

Klerycy mieli wielu życiowych przyjaciół poza jednostką, wśród mieszkańców Bartoszc. Wśród nich na szczególne wyróżnienie zasługuje Konstancja Skuriat, zwana przez nas po prostu Babcia. U niej drzwi dla nas były zawsze otwarte. Nawet jeśli babcia gdzieś wyszła, to

Kleryk Popieluszko c. d.

Z Alkiem widywaliśmy się codziennie, mieszkaliśmy przecież na tym samym piętrze, spotykaliśmy się na korytarzu, w umywalni, w kawiarni, w kancynie i oczywiście na apelach porannym i wieczornym. Razem chodziliśmy często do różnych, często bezsensownych prac np. sypania wałów, które następną ekipa rozbierała. Kleryk Alek to był nasz kolega, jeden z nas, taki zwyczajny, z którym obcowaliśmy na co dzień. Czasem poważny, czasem śmiejący się do rozpuku. Często zmęczony i udręczony przez swojego sadystycznego dowódcę plutonu.

Po roku rozpoznawało się kolegów po odgłosie kroków na korytarzu, po sylwetce na warcie. I oczywiście często niestety, widywało się Alka, jak nakładano na niego różne kary np. osławiony ZOK. Po powrocie z zajęć w czasie wolnym oficer wzywał takiego ukaranego ZOK-iem żołnierza (ja też odbywałem tę karę) i musiał szybko, w pełnym umundurowaniu z saperką, pistoletem i magazynkami, w hełmie i z plecakiem, w którym musiało być wszystko co żołnierzowi potrzebne: szczotka do butów, wycior, olejarka itp. zameldować się na baczność u oficera dyżurnego.

Następnie należało pokazać, że wszystko jest na swoim miejscu, łśni i błyszczący, nawet biała chusteczka w prawej kieszeni munduru. I tak można było, jeśli dowódca się uparł, meldować się co godzinę.

Niestety ksiądz Jerzy, wtedy jeszcze Alek, bardzo często dostawał taką karę, dlatego, że był to charakter twardy. On po prostu co myślał to powiedział, a oni tylko na to czekali. Najgorsze było to, że ich pluton miał okropnego sadystę za dowódcę. Był bardzo ordynarny, używał często wulgarnych słów. I to on najczęściej w czasie swojego dyżuru, znęcał się nad Alkiem Popieluszką.

Jak zabić nudę

W tej sytuacji każdy kombinował jak przeżyć służbę w tym wojsku. Wiedzieliśmy, że jest to parodia służby wojskowej i być może, na nic się nam to nie przyda. Zatem jeśli były możliwości zgłoszenia się do jakichś prac w czasie wolnym, to myśmy się zgłaszali, by czymś zapełnić monotonię pobytu w tych okropnych koszarach. Lecz niektórzy z nas, w tym ksiądz Popieluszko, uważali to za pójście na współpracę z reżimem i odmawiali udziału we wszelkich dodatkowych zajęciach. Chodziło tu np. o przygotowywanie akademii, gazetek, malowanie plakatów itp. Ja np. miałem zdolności do liternictwa. Zgłosiliśmy się więc z kolegą, że jesteśmy specjalistami od wykonywania różnych napisów, nie

mając na początku o tym żadnego pojęcia. Malowaliśmy z kolegą Bolkiem tablice informacyjne. Chcieliśmy zapełnić czymś nasz pobyt w koszarach i mieć święty spokój w tym czasie od zajęć wojskowych i politycznych. Oficjalnie robiąc napisy i tablice, mieliśmy możliwość, w tajemnicy, wykonywać elementy dekoracji do kościoła parafialnego np. do Bożego Grobu. Wynosiłem je np. w pokrowcu na gitarę, bo stworzyliśmy kwartet wokalnie - muzyczny. Pretekstem był udział w próbie.

Natomiast kleryk Alek, jeśli mu nawet proponowano jakąś pracę, to zdecydowanie odmawiał. Taką miał zasadę i nie podejmował się żadnych nadobowiązkowych prac. Jego dowódca plutonu wykorzystywał zatem każdy pretekst, żeby go szykanować i poniżać. Myśmy nie mogli mu w niczym pomóc. Sami zresztą mieliśmy podobne kary i problemy z dowództwem.

Urządzano więc akademie ku czci: a to Rewolucji Październikowej, a to Święta Odrodzenia 22 lipca, Święta Pracy czy świąt wojskowych. Wszystko to było oparte na kłamstwach, lecz my musieliśmy w tym brać udział. Jedni więc mówili wiersze, inni śpiewali, grali albo prezentowali jakiś repertuar kabaretowy, inni siedzieli na widowni i wtajemniczeni - zaśmiewali się z naszych wstawek. Wielu kleryków, którzy mieli jakieś uzdolnienia angażowało się w podobne przedsięwzięcia. Organizowaliśmy też zawody sportowe i mecze. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z uleganiem indoktrynacji czy pójściem na wspólną pracę.

Ja się zajmowałem dekoracjami i czasem śpiewaniem. Poznałem też trzech kolegów którzy mieli podobne pasje i stworzyliśmy kwartet gitarowy w składzie Tadeusz, Zbyszek, Juliusz i ja. Urządzaliśmy próby w piwnicach, gdzie była znakomita akustyka i śpiewaliśmy z wielką radością na cztery głosy min. polskie pieśni żołnierskie, rosyjskie ballady i... pieśni religijne (nawet po łacinie).

Czasem nam pomagał harmonizować głosy organista z kościoła farnego. Okazało się w pewnej chwili, że organizowany jest jakiś festiwal piosenki radzieckiej i zaproponowano nam udział w eliminacjach miejskich w domu kultury w Bartoszycach. Przygotowaliśmy więc repertuar min. pieśń „Tiomnaja noc”, a naszym konsultantem był wspomniany już organista, który znał znakomicie rosyjski, gdyż pochodził gdzieś ze Wschodu. Zaśpiewaliśmy w tych eliminacjach. Nasz występ spodobał się jury, więc wysłano nas na eliminacje powiatowe, następnie wojewódzkie w teatrze im. Jaracza w Olsztynie i wreszcie ogólnopolskie we Włocławku. Wszystkie etapy przeszliśmy pomyślnie i zakwali-

fikowaliśmy się do koncertu finałowego w Zielonej Górze. Wystąpiliśmy tam w koncercie, który był transmitowany przez telewizję. Konferansjerką była znana ówczesna prezenterka telewizyjna Edyta Wojtczak, a dyrygentem Stefan Rachoń. Lecz zanim tam wystąpiliśmy wywalczyliśmy przepustki dla kilku naszych kolegów, którzy już od dawna ich nie dostawali. Jako warunek udziału w koncercie w Zielonej Górze, zażądaliśmy bowiem udzielenia kolegom przepustek. Dowództwo chcąc uniknąć kompromitacji, musiało spełnić nasze żądania.



Podczas koncertu (autor wspomnień pierwszy z lewej)

Po tym występie baliśmy się, że nasi przełożeni z seminarium wyrzucą nas ze studiów za udział w festiwalu, lecz na szczęście tak się nie stało. Po koncercie odbył się uroczysty bankiet z udziałem min. ambasadora ZSRR w Polsce i innych ważnych osobistości. Pierwszy raz w życiu widzieliśmy takie wykwintne nakrycia i jedzenie, toteż musieliśmy się przyglądać innym, jak jeść niektóre potrawy. To było wielkie przeżycie dla nas młodych ludzi i wielka pokusa, by wybrać inne życie, ale wszyscy pozostaliśmy wierni naszemu powołaniu i

do dzisiaj jesteśmy kapłanami. Po powrocie jedni nam gratulowali sukcesu, inni nas potępiali, natomiast ksiądz Popiełuszko nie zmienił swego dobrego, koleżeńskiego stosunku do nas.

Filmy i rozrywka

Były dwa kina w Bartoszycach. Jedno w centrum miasta, drugie tuż za koszarami w GKO (Garnizonowy Klub Oficerski). Tam nas najczęściej pędzono, aby w ramach działalności politycznej oddziaływać na nas odpowiednio dobranym repertuarem. Wyświetlano więc filmy głównie radzieckie, polskie i innych państw socjalistycznych - np. „*Matkę Joannę od Aniołów*” czy „*Paciorki jednego różańca*”. Wielokrotnie, nie wiadomo dlaczego akurat, wyświetlano sensacyjno-kryminalny film *Niagara*, wiele filmów radzieckich dotyczących wojny ojczyźnianej i rewolucji październikowej np. „*Z iskry rozgorzeje płomień*”, „*Jak hartowała się stal*”. To były dwa filmy dyżurne, które wyświetlano „na okrągło”, wielokrotnie. Podczas tych projekcji wybieraliśmy takie miejsca, gdzie się najlepiej spało.

Kościół nie opuścił swoich kleryków

Kościół wyznaczył do opieki nad nami wspomnianego już księdza Kazimierza Torłę. Zapraszał on do swego kościoła wykładowców i kaznodziejów z całej Polski, którzy głosili tu nauki i wykłady. Przyjeżdżali też do Bartoszyca biskupi z różnych diecezji min. nasz rektor ks. Franciszek Jerominek, czy biskup Karol Wojtyła. Spotykali się z klerykami w kościele, gdyż nie byli wpuszczani na teren jednostki. Odwiedzali też babcię Konstancję, by jej podziękować za opiekę nad klerykami. My też staraliśmy się utrzymywać kontakty z naszymi przełożonymi i biskupami. Pisaliśmy do nich listy: np. napisaliśmy list gratulacyjny do kardynała Karola Wojtyły z okazji mianowania go do godności kardynalskiej. I to jemu później przyszło rozpocząć proces beatyfikacyjny śp. ks. Jerzego Popiełuszki, którego końca już niestety nie doczekał.

W ten sposób dotrwaliśmy jakoś do końca służby wojskowej. Zdaliśmy swoje mundury, włożyliśmy ubrania cywilne i wyruszyliśmy upragnioną drogę powrotną do swoich bliskich.

Dziękczynienie na Jasnej Górze

30 października 1968 roku już jako byli żołnierze (rezerwa!), zebraliśmy się na Jasnej Górze, by w kaplicy Matki Bożej podziękować za opiekę i pomoc w trudnych chwilach służby wojskowej. Powitał nas osobiście ksiądz prymas Stefan Wyszyński. Następnie przemówił do nas tymi słowami: „Przybyliście aby Jej podziękować za opiekę i macierzyńska pomoc, za obronę waszych powołań, prawa do wolności i samostanowienia o sobie, zgodnie z charakterem rozumnej i wolnej istoty ludzkiej. Przybyliście aby Jej podziękować za wasze zwycięstwo. [...] wiedzieliśmy, że musicie walczyć nie tyle o sprawność żołnierską, ile raczej o sprawność duchową, o wierność Bogu i Kościołowi, o wasze powołanie kapłańskie, o wewnętrzną wolność światopoglądu chrześcijańskiego. [...] Zrozumieliście głębiej sens waszego powołania do „rycerki Chrystusowej”, która nie mieczem, ale duchem miłości ma odtąd zwyciężać”. Po tych słowach Prymasa, trzech naszych kolegów podeszło do ołtarza i złożyło u jego stóp wotum, jako symbol wdzięczności za opiekę Matki Bożej Jasnogórskiej.

Jasna Góra 1968 (w środku ksiądz prymas Stefan Wyszyński)





Votum dziękczynne kleryków J W 44 13
ofiarowane na Jasną Górę w 1968 roku

Bł. ks. Popieluszko – refleksja autora wspomnień

Księżdz Popieluszki już nie spotkałem później osobiście, po odbyciu służby wojskowej. Lecz widziałem go często w telewizji na początku lat 80 - tych, gdy głosił swoje kazania na „Mszach za Ojczyznę”. Jego działalność publiczna trwała krótko, lecz była tak bardzo intensywna, że myśmy załamywali ręce i mówili między sobą: „Przecież oni go zabiją”. Baliśmy się, bo tamta przeszłość, nauczyła nas z kim mamy do czynienia. Dla nich to przecież nie było nic wielkiego, tak wielu ludzi pomordowali.

Ks. Jerzy głosił prawdę bez agresji, w sposób wyważony i spokojny, był mocny, jak ta kropla, która draży skałę. Aż ta skała się wściekła i postanowiła go zmiażdżyć. Miarę przebrały słowa powtarzane jak refren: „Zło dobrem zwyciężaj”. Tego znieść nie mogły siły ciemności.

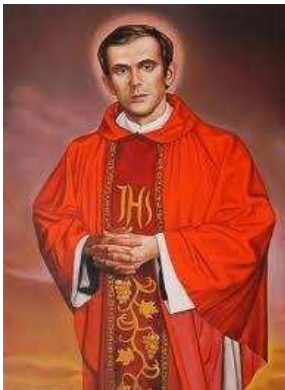
Okazało się, że to zabójstwo - a była to bardzo okrutna, męczeńska śmierć. Zbrodni dokonano ze szczególnym udręczeniem bezbronnej ofiary. Lecz rachuby morderców spełzły na niczym. Tę śmierć spowodowała nienawiść jednej strony, lecz w tych, którzy go słuchali obudziła jeszcze większą siłę i nadzieję.

Ks. Jerzy przyciągał do Kościoła wielu ludzi, którzy mieli z Kościołem bardzo luźne związki – aktorów, intelektualistów, nawet polityków. A był to przecież prosty, młody ksiądz. Jego misja graniczyła z szaleństwem w tym sensie w jakim mówi się o szaleńcach Bożych.



Byliśmy pewni, że oni tego tak nie zostawią. Nie pomogła nawet interwencja Prymasa, który zaproponował mu studia zagraniczne, lecz ks. Popiełuszko odmówił. Pokazał tym samym, że jego determinacja była szczerą i bezgraniczną. Otwierał on ludziom oczy i sumienia „A tego się słuchać nie godzi”, jak mówili faryzeusze, kiedy Chrystus głosił swoje nauki. Miałem to szczęście, że poznałem tego człowieka i jestem przekonany, że dwa lata w Bartoszycach nie były czasem zmarnowanym. Wbrew intencjom tych, którzy chcieli pokrzyżować nam plany, przygotowały nas jeszcze lepiej do przyszłej posługi kapłańskiej, a Jego do chwały ołtarzy.

Epilog - beatyfikacja



My, Jego koledzy, już nieco starsi, doświadczeni życiem, przyprószeni siwizną, w uszczuplonym śmiercią składzie zameldowaliśmy się na Placu Zwycięstwa w Warszawie, w dniu 6 czerwca 2010 roku. Usłyszeliśmy tam z ust papieskiego wysłannika, abpa Angelo Amato, prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych następujące słowa: **"Beatyfikacja ks. Popiełuszki, to wielki dar dla wielkiego narodu"**.

Jesteśmy znów Wielkim Narodem! To stało się także dzięki Niemu, skromnemu, trochę nieśmiało-temu chłopcu, zadrażnianemu żołnierzowi, skromnemu klerykowi, odważnemu pasterzowi, „który życie dał”. Byliśmy z nim zbyt blisko, by dostrzec Jego wielkość i fakt, że On naprawdę zdemaskuje i zwycięży zło - dobrem Słowa i ofiarą życia. „Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości...” Vide cui fide!

Wspominał ks. kanonik Jerzy Kiera, proboszcz parafii p.w. św. Bartłomieja w Koniakowie

Wspomnień wysłuchał i artykuł współredagował Andrzej Suszka